Asymptote
ISSN 3072-4929

Kategoria

PROZA

Dowód na istnienie osoby trzeciej

Justyna Majewska

Asymptote 07/2026 · listopad 2026
© 2026 Asymptote

Streszczenie. Opowiadanie o matematyku, który na zlecenie urzędu miejskiego buduje model trwałości związków i odkrywa w danych dodatkową zmienną: wyobrażoną obecność kogoś trzeciego, do którego partnerzy odwołują się, uzasadniając swoje decyzje. Równolegle w małżeństwie narratora ktoś zaczyna mówić za dwoje. Tekst jest o tym, że liczba mnoga bywa wygodnym schronieniem, a wynik pomiaru — sposobem na uniknięcie odpowiedzi.

Wniosek pierwszy: dwie osoby nie zawsze tworzą parę.

Nie był to wniosek szczególnie odkrywczy, ale komisja zamawiająca badanie kazała mi zacząć od definicji. Pracowałem na wydziale matematyki stosowanej, a magistrat chciał wiedzieć, czy da się przewidzieć trwałość związków. W mieście uruchamiano program dopłat mieszkaniowych dla par i ktoś uznał, że należałoby odróżnić te, które będą razem jeszcze za pięć lat, od tych, które rozpadną się wcześniej.

Powiedziałem, że przewidywanie nie jest tym samym co zasługiwanie na mieszkanie.

Urzędniczka zanotowała uwagę w rubryce „ryzyko metodologiczne". Byłem z tego tak dumny, że po powrocie opowiedziałem wszystko Sarze.

— Przynajmniej wpisali to do protokołu — powiedziała.

Nie wiedziałem wtedy, że jest to zdanie o naszym małżeństwie.

* * *

Początkowo model był skromny. Dwie osoby, dwa zestawy deklaracji, wspólne wydatki, liczba godzin spędzanych w jednym mieszkaniu, sposób rozwiązywania sporów. Unikałem pytań o miłość. Miłość nie nadaje się do ankiet nie dlatego, że jest tajemnicza, ale dlatego, że ludzie używają tego słowa, mając na myśli zbyt wiele różnych czynności.

Można kochać i nie odwiedzać. Można nie kochać i regularnie płacić rachunki.

Sara uznała, że pierwsza wersja ankiety jest obraźliwa.

— Pytasz, kto podejmuje ostateczną decyzję o dużym wydatku. A jeśli żadne z nas nie podejmuje jej ostatecznie?

— Wtedy zaznaczasz „wspólnie".

— Nie ma takiej odpowiedzi.

Były trzy: osoba A, osoba B, osoba spoza związku.

— To błąd w formularzu — powiedziałem.

— Właśnie.

Dodałem czwarte pole. Później dołożyłem jeszcze „nie dotyczy". Sara pracowała jako tłumaczka przysięgła. Sądziła, że każda zamknięta lista odpowiedzi jest czyimś sposobem na pozbycie się ludzi, którzy nie mieszczą się w języku pytania.

Uważam, że przesadzała. Są listy, które służą do zwykłego porządkowania. Wciąż tak uważam.

* * *

Kiedy ankiety zaczęły wracać, w wynikach pojawiła się osobliwa regularność. Pary, które zgodnie deklarowały podejmowanie decyzji we dwoje, często zachowywały się tak, jakby każda decyzja wymagała aprobaty jeszcze kogoś. Nie chodziło o teściów ani dzieci. W wielu przypadkach trzecia osoba nie miała imienia.

„Co ludzie powiedzą". „Nie wypada". „Normalna rodzina tak nie robi".

Mój asystent Bartek nazwał ją Zmienną C. Bardzo go to bawiło. Mnie mniej, bo nazwa wyglądała tak, jakby odkryliśmy dodatkowego mieszkańca domu, a w istocie mieliśmy do czynienia ze zdaniami używanymi w rozmowach.

W modelu można wyznaczyć trzy punkty i narysować trójkąt. Nie wynika z tego, że trzeci punkt żyje.

Jednak Zmienna C poprawiała wyniki predykcji. Jeśli oboje partnerzy powoływali się na wyobrażoną ocenę kogoś trzeciego, ich związek okazywał się trwalszy. Jednocześnie częściej

deklarowali niezadowolenie. Bartek zaproponował, żeby nazwać ten efekt stabilnością przez publiczność.

— To może być po prostu lęk przed rozwodem — powiedziałem.

— Może. Ale urząd zapłacił nam za przewidywanie, nie za rozumienie.

To zdanie zapisałem, żeby potem wykorzystać je w dyskusji o etyce badań. Przez kilka tygodni nie wykorzystałem go nigdzie.

* * *

W naszym domu podobne zdania padały rzadko. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Sara dostała propozycję rocznego kontraktu w innym mieście. Tłumaczenia podczas postępowań, dobre wynagrodzenie, mieszkanie służbowe. Miałaby pracować od poniedziałku do piątku i wracać na weekendy.

— Chciałabym spróbować — powiedziała, stawiając przy mnie kubek.

Nie powiedziałem „nie". Zapytałem tylko, co z naszym mieszkaniem, a później, czy zastanowiła się nad dojazdami. Sara odpowiedziała na oba pytania. Była przygotowana. Nie byłem przygotowany ja.

— Wiem, że masz tu pracę — dodała.

— Nie chodzi o moją pracę.

— A o co?

— O nas.

To zabrzmiało dostojniej, niż planowałem. „Nas" było w tamtej chwili pojęciem, za którym mogłem schować wszystkie własne lęki bez konieczności ich rozdzielania.

Sara nie przyjęła kontraktu. Przez miesiąc nie wracaliśmy do rozmowy. Kiedyś uważałem tę przerwę za dowód, że podjęliśmy decyzję bez żalu. W ankiecie zaznaczyłbym „wspólnie".

* * *

Pewnego popołudnia Bartek pokazał mi trzy rekordy. W jednym kobieta odmówiła awansu, ponieważ „tak będzie lepiej dla nas". W drugim mężczyzna ograniczył kontakty z rodziną, bo „w końcu jesteśmy małżeństwem". W trzecim nie było żadnego konfliktu. Oboje partnerzy zaznaczyli, że nigdy się nie kłócą. Kobieta zaznaczyła również, że od trzech lat nie zgłasza żadnych próśb.

— To przecież nie musi znaczyć nic złego — powiedziałem.

Bartek spojrzał na mnie tak, jak patrzy się na zegar, który przestał działać, ale wciąż pokazuje godzinę.

— Zgadza się. Dlatego prosiliśmy ich też o opis ostatniej ważnej decyzji.

Przeczytałem odpowiedź kobiety: „Zrezygnowałam z operacji kolana. Nie chcieliśmy komplikować urlopu".

— Może operacja nie była pilna.

— Może. Nie rozstrzygamy tego. Pytam tylko, kto kryje się w słowie „chcieliśmy".

Chciałem odpowiedzieć, że dwoje ludzi ma prawo używać liczby mnogiej. W końcu całe pojęcie pary opiera się na tym, że dwie osoby mogą podjąć jedną decyzję.

Dopiero wieczorem zapytałem Sarę, czy naprawdę nie żałuje tamtego kontraktu.

— Myślałam, że już o nim rozmawialiśmy — odparła.

— Rozmawialiśmy.

— Nie. Ty przedstawiłeś zastrzeżenia, a ja zrezygnowałam. To nie to samo.

Wtedy pierwszy raz usłyszałem, że Sara nie chciała rozstać się z mieszkaniem. Chciała sprawdzić, czy potrafi mieszkać gdzieś bez konieczności tłumaczenia każdej zmiany w planach. Nie wiedziałem, że istnieje taki problem. Ona twierdziła, że wystarczyłoby zapytać.

* * *

W raporcie końcowym opisaliśmy Zmienną C jako obecność normy zewnętrznej w procesie decyzyjnym. Nie próbowaliśmy ustalać, czy jest to konkretna osoba. Wprowadziliśmy jedynie parametr mierzący częstotliwość, z jaką partnerzy uzasadniają swoje decyzje odwołaniem do wyobrażonego obserwatora.

Urzędniczka przeczytała streszczenie i zadała pytanie, którego się spodziewałem:

— Czy dzięki temu potrafimy wskazać związki trwałe?

— Z większym prawdopodobieństwem niż wcześniej.

— A zadowolone?

— Nie.

Długo oglądała wykres.

— To może nie szkodzi. Dopłaty przyznajemy na pięć lat, nie za szczęście.

Powinienem był zaprotestować. W raporcie umieściłem przecież zastrzeżenie, że model nie może służyć do oceny, które związki zasługują na wsparcie. Powtórzyłem je na spotkaniu. Pani urzędniczka znów zanotowała uwagę jako ryzyko metodologiczne.

Na zewnątrz padał śnieg z deszczem. Zobaczyłem w szybie odbicie własnego gestu: dwukrotnie wygładziłem mankiet koszuli, choć nic mu nie dolegało. Robiłem tak zawsze, gdy miałem za chwilę powiedzieć coś, co mogłoby komuś nie spodobać. Nie powiedziałem już nic.

* * *

Sara przyjęła drugą ofertę, tym razem krótszą. Trzy miesiące. Poinformowała mnie o tym przy śniadaniu.

Nie zapytała, co sądzę.

— Czyli podjęłaś decyzję sama? — powiedziałem.

— Tak.

Uderzyło mnie, że zabrzmiało to niemal niegrzecznie, choć odpowiedź była prosta i zgodna z prawdą.

— W takim razie co będzie z nami?

— Nie wiem.

Po raz pierwszy od dawna nie próbowała wypełnić tego „nie wiem” jakimś zapewnieniem. Odkroiła kromkę chleba, ale nie zaczęła jeść. Zapytałem, czy jej zdaniem nasze małżeństwo się skończyło.

— Nie wiem również tego — powiedziała.

— Chcę to zrozumieć.

— Wiem. Tylko za każdym razem, kiedy coś wyjaśniam, ty zamieniasz moje wyjaśnienie w argument. A potem rozstrzygasz, czy jest wystarczający.

Miałem ochotę powiedzieć, że przecież każde małżeństwo wymaga rozumnej rozmowy. Nie powiedziałem tego. Byłem dumny ze swojego milczenia, dopóki nie zobaczyłem, że Sara wcale go nie zauważyła.

* * *

Po jej wyjeździe przeglądałem ankietę jeszcze raz. Zmieniłem jedną odpowiedź w pilotażowym formularzu, który kiedyś wypełniliśmy dla próby. W pytaniu „Kto podejmuje decyzje o zmianie miejsca zamieszkania?” zamiast „wspólnie” wpisałem „osoba B”. Komputer automatycznie przeliczył współczynnik trwałości naszego związku. Wynik spadł o siedem punktów procentowych.

Odczułem ulgę. Liczba pozwalała mi uznać, że w naszym życiu zaszło zdarzenie mierzalne i zewnętrzne, jak pogorszenie pogody. Kiedy człowiek ma wynik, może udawać, że nie musi już na nic odpowiadać.

Zadzwoniłem do Sary. Powiedziałem, co zrobiłem. Nie mówiłem o siedmiu punktach; nawet mnie zabrzmiałoby to żałośnie.

— Czemu poprawiłeś moją odpowiedź? — zapytała.

— Bo teraz wiem, że tamta nie była prawdziwa.

— Dla ciebie nie była.

— Dla ciebie też chyba nie.

— Wtedy myślałam, że jest. To nie jest kłamstwo.

Chciałem zaproponować wspólne ponowne wypełnienie ankiety. Ugryzłem się w język, ponieważ po raz pierwszy rozumiałem, że niektórych zdań nie da się ocalić przez poprawienie odpowiedzi.

— Mogę to cofnąć — powiedziałem.

Sara roześmiała się krótko, bez złośliwości.

— Zrób, jak uważasz. To twoje badanie.

Po rozmowie przywróciłem poprzednią wartość. Zostawiłem jednak w systemie datę korekty. Nie wiedziałem, czy to uczciwość, czy ostatnia próba zachowania śladu po własnej racji.

* * *

W dniu przedstawienia wyników urzędowi Bartek zaproponował ostatni slajd. Miały na nim być dwa wykresy. Jeden pokazywał rosnącą trwałość związku wraz z częstotliwością używania przez partnerów słowa „my". Drugi — malejące prawdopodobieństwo, że obie osoby samodzielnie zrealizują ważne dla siebie plany.

— Ładnie się przecinają — powiedział.

Punkty leżały niemal na jednej przekątnej. W statystyce zdarza się, że wynik jest piękny i nieprzydatny. Zdarza się też, że piękno wyniku czyni go niebezpiecznym, bo ludzie prędzej mu uwierzą.

Usunąłem pierwszy wykres. Zostawiłem drugi, choć wiedziałem, że przez to prezentacja będzie mniej przekonująca.

— Przecież oba są prawdziwe — zauważył Bartek.

— Tak.

— Więc dlaczego?

Nie umiałem odpowiedzieć. Mógłbym powiedzieć, że pierwszy wykres urząd wykorzysta do nagradzania trwałości bez pytania o jej koszt. Drugi również dałoby się wykorzystać do czegoś złego. Nie byłem w stanie wykazać, że mój wybór jest moralnie bezpieczniejszy. Mogłem tylko wskazać, jaki błąd chciałbym utrudnić.

Przed prezentacją urzędniczka poprosiła, żebym w dwóch zdaniach wyjaśnił, czym właściwie jest Zmienna C.

— To ktoś trzeci w małżeństwie? — zapytała.

— Niekoniecznie ktoś.

— Duch dawnych relacji?

— Niekoniecznie duch.

— To jak mam to przedstawić radnym?

Powiedziałem, że chodzi o człowieka, którego obecności nie można potwierdzić, ale do którego przypisuje się odpowiedzialność za decyzje. Przez chwilę wydawało mi się, że znalazłem wreszcie precyzyjną definicję.

Urzędniczka pokiwała głową.

— Czyli społeczeństwo.

Mogłem się zgodzić. Zamiast tego powiedziałem:

— Czasami tylko jedno z nas, kiedy mówi za dwoje.

Urzędniczka skrzywiła się, bo nie była pewna, czy to zdanie nadaje się do protokołu. Ja też nie byłem pewien.

Wróciłem do sali i otworzyłem prezentację na slajdzie z pustym miejscem po usuniętym wykresie. Na ekranie między tytułem a drugim wykresem zostało zbyt dużo bieli. Bartek wskazał ją palcem.

— Tutaj czegoś brakuje.

— Wiem — odpowiedziałem.

Nie przesunąłem wykresu wyżej.